

Dekameron 2020

Romualda Radwańska

MOC SZTUKI

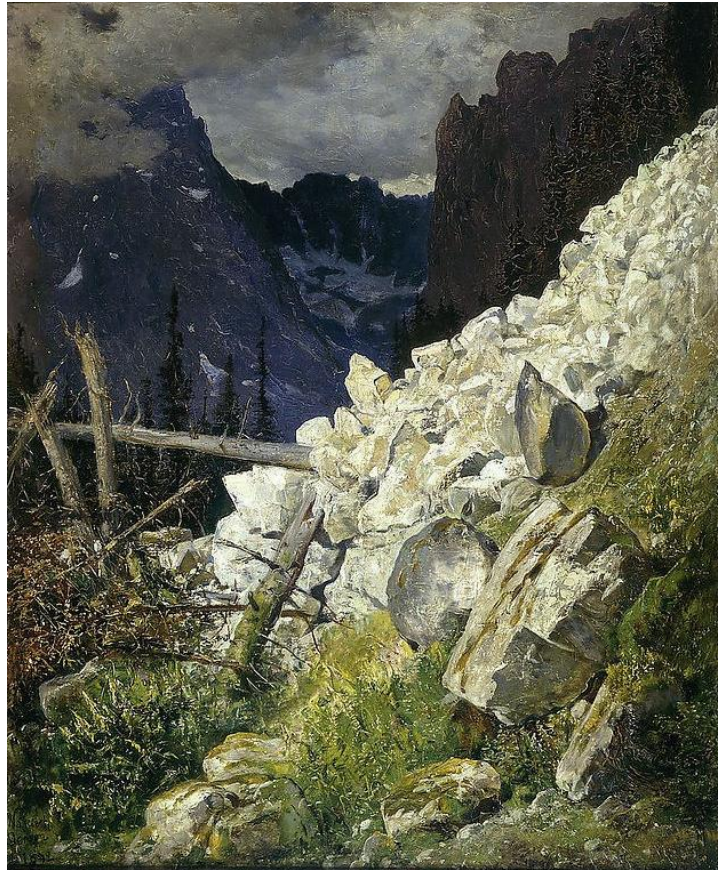
Czy można tęsknić za miejscem pracy? Za pracą, gdy się ją lubi, owszem, ale za budynkiem, salami, korytarzami? Jeśli się pracuje w muzeum, można i to bardzo. Sam gmach Muzeum Narodowego w Warszawie jest ciekawy, a jego historia, bardzo związana z dziejami międzywojennej i okupacyjnej Warszawy, przejmująca. Ponadto każda ściana muzealnych galerii zapisana jest w mojej pamięci w specyficzny sposób: “ta z Gierymskim, ta z Wojtkiewiczem, ta z Matejką”. Teraz, gdy upłynęły już długie tygodnie odkąd byłam w Muzeum ostatni raz, myślę, które z obrazów mijanych przeze mnie wielokrotnie, niemal każdego dnia, odtwarzają się przed moimi oczami najczęściej.



To dwa dzieła niewielkich rozmiarów, które nie wiszą w eksponowanym miejscu i łatwo je przeoczyć, także z racji prominentnego sąsiedztwa: umieszczone są obok imponujących pięknem i rozmiarem obrazów Józefa Chełmońskiego. Jednak to one stają mi przed oczami. Pod względem kompozycji są swoim przeciwieństwem. Jedno pokazuje góry w szerokim, panoramicznym planie, a drugie w zbliżeniu, tylko ich mały fragmencik. Przez środek płótna Wojciecha Gersona zatytułowanego "Cmentarz w górach" przebiega rozwalający się niski murek zbudowany z białych, zapewne wapiennych, kamieni. Po stronie bliższej widza są ruiny cmentarza. Widzimy jedynie zarysy ziemnych nagrobków i jeden pochylony, szerniały krzyż po prawej stronie. Gdyby nie on, trudno byłoby rozpoznać, że to miejsce pochówku. Sterty kamieni porośłe mchem i trawą. Tuż przy murze, niemal w centrum przedstawienia, ukazane są dwie postacie: kobieta w żałobnym stroju i dziecko. Silny wiatr porwał jej czarny welon. Wtulony w nią chłopczyk ma zaledwie kilka lat. Gdyby nie te postacie, można by przeoczyć świeżo usypaną mogiłę pod samym murem cmentarnym, u której stóp stoją matka i syn. Kruchości tych postaci, szarpanych porywistym wiatrem, malarz przeciwstawił potęgę gór i bezmiar nieba. Szczyty wypiętrzone po prawej stronie płótna schodzą ku jego lewej krawędzi budując przekątną obrazu. Choć oddalone, są majestatyczne i groźne, a wrażenie to potęguje niebo wypełniające obraz powyżej przekątnej stworzonej przez góry. Poprzez szare, potargane wichrem chmury przebija się zimne światło i rozlewa na całą dolinę. Ktokolwiek przy takiej pogodzie wędrował po Tatrach, wie jakiej trwogi można doświadczyć patrząc na zmagania tego duetu: posępnych grani i srożącego się nieba. Drugi obraz, również Gersona, zatytułowany "Zwał skalisty w Dolinie Białej Wody" utrzymany jest w tym samym klimacie. W głębi płótna widzimy lite skały szczytów sięgających czarnego od chmur nieba. One tworzą scenerię dla pierwszego planu ukazującego lawinę białych

głazów, która zeszła ze stromego zbocza. Są tak blisko widza, że czujemy ich niszczącą, niepowstrzymaną moc.

Fotograficzna dokładność tych przedstawień, przy jednoczesnym uchwyceniu nastroju grozy i powagi gór, sugerują, że zostały namalowane z natury, że artysta – jak mówią górale – “wystyrmał się” na jakąś półkę skalną i z bliska malował te górskie pejzaże. Jest w tym przypuszczeniu cząstka prawdy. Wojciech Gerson w Tatry zaczął jeździć jeszcze w młodości, a od roku 1885 wracał tam corocznie i jak



wspomina jego córka, bez nich żyć nie mógł. I rzeczywiście nie tylko wędrował po nich, ale również wspinał się w miejsca trudno dostępne. Nie rozstawiał jednak sztalug na półkach skalnych! Malowanie w plenerze nie było jeszcze praktykowane. Na łonie przyrody tworzone tylko szkice malarskie, w ołówku lub akwareli, a finalne dzieła, w technice olejnej, powstawały w atelier. Tak też postępował Wojciech Gerson. Trudno uwierzyć, że dopiero w swojej warszawskiej pracowni odtwarzał górskie ostępy! Robił to dla własnej przyjemności. Prestiż, nagrody na międzynarodowych wystawach, wysoką pozycję w świecie artystycznym, a także środki na utrzymanie przynosiło mu malarstwo historyczne, gatunek stojący na szczycie akademickiej hierarchii tematów. Było też ono misją

w kraju rozdartym przez państwa zaborcze, co trafnie opisał Jan Matejko twierdząc, że “sztuka jest pewnego rodzaju orężem”. Po latach okazało się jednak, że – jak słusznie zauważył Stanisław Witkiewicz, nota bene także mistrz w malowaniu Tatr – maestrię osiągnął Gerson w malarstwie pejzażowym. Dwa dzieła z kolekcji Muzeum Narodowego potwierdzają osąd Witkiewicza.

Dlaczego spośród licznych arcydzieł znajdujących się w Galerii Sztuki XIX Wieku te dwa tak utkwiły mi w pamięci? Może z powodu tęsknoty za Tatrami? Od wielu, wielu lat spędzam tam Wielkanoc. A może dlatego, że miłośnik Tatr i baczny ich obserwator, w tych obrazach uchwycił to, co ciągnie ku górom: ich moc, niewzruszoność, wieczne trwanie. Czy myśl, że potok w Dolinie Białego płynął tysiące lat przed nami i będzie drążył jasne skały, gdy już nas nie będzie, nie jest kojąca? Przyroda, natura, która tak bezpardonowo zagoniła nas do domów, rządzi się swoją odwieczną logiką i porządkiem, a człowiek jest tylko jej drobną częścią. Czy w świecie ciągłej przemiany, będąc w nieustannym ruchu, jak Bieguni z książki Olgi Tokarczuk, nie potrzebujemy czegoś niewzruszonego i stałego? Czy wreszcie kruche postacie ludzkie na tle potężnych, majestatycznych gór na obrazie Gersona nie przypominają nam, że nie jesteśmy władcami przyrody i panowanie nad nią jest tylko naszym złudzeniem? Tym obrazem Stary Mistrz daje lekcję pokory. Wszyscy ją teraz przerabiamy.

Wyobrażam sobie radość Wojciecha Gersona, gdy w ciszy swego atelier maluje, sam dla siebie, granie, doliny i smukłe smreki. Zastanawiam się, czy te pejzaże ukochanych Tatr łagodziły jego gorycz, bo przecież – mimo nagród – nie on, a Jan Matejko poruszył zbiorową pamięć Polaków i sprowokował ich do zażartych dyskusji o losach kraju. Czy zatem sztuka może być pocieszeniem, ukojeniem zarówno dla twórcy jak i jej odbiorcy? Być może dla Witolda Wojtkiewicza jego twórczość była jak wentyl

bezpieczeństwa dający ujście rozpaczy z powodu nieszczęśliwej miłości i grozy nadchodzącej śmierci. Dla Tytusa Czyżewskiego sztuka mogła być odgrózeniem od świata kpiącego z jego ułomnej sylwetki. Katarzyna Nosowska, w swym teledysku, wyśpiewywała nadzieję na podźwignięcie się z życiowych kryzysów w galeriach Muzeum Narodowego w Warszawie. Za jej plecami kilkakrotnie pojawiają się maleńkie obrazki olbrzyma, Jana Stanisławskiego, który wszedł do petersburskiego Ermitażu matematykiem, a wyszedł artystą-malarzem. Taka może być moc sztuki! I na koniec świadectwo Karoliny Lanckorońskiej, pierwszej Polki, która uzyskała habilitację w dziedzinie historii sztuki. Podczas uwięzienia w obozie koncentracyjnym, została skazana na pobyt w karcerze, z którego nie wychodziło się o zdrowych zmysłach. Gdy go opuściła po wielu dniach, zadziwiła oprawców dobrym zdrowiem psychicznym. Jak to się stało? We “Wspomnieniach wojennych” pisze, że siedząc w ciemnicy, przypominała sobie fragment po fragmencie kolejne obrazy z kolekcji Galerii Uffizi we Florencji.